ROZMAITOŚCI.

Dnia 25 kwietnia, Ner 17. roku 1846.

Scena nocna w Madrycie r. 1578.

Pałac księcia Evoli Rodriga Gomez de Silva był jednym z najpyszniejszych budynków hiszpańskiej stolicy w 16ym wieku. Panująca tam wystawność, połączona z niezmiernem bogactwem i najdoborniejszym smakiem, wzbudzała nawet zawiść samego dworu. Arcydzieła Tycyjana i wszystkich prawie niderlandzkiej szkoły malarzów, nieocenione obicia chińskie, zdobiły wysokie ściany komnat, przepełnionych kosztownościami wszelkich części świata. Nikt w Europie nie miał takich koni, i tak świetnych powozów, jak książę Gomez de Silva. Lecz te wszystkie skarby niczem były w porównaniu ze skarbem, ukrywającym się w murach książęcego pałacu — z piękną małżonką księcia, z boginią téj świątyni, słońcem tego promiennego światłokręgu. Trzech mężczyzn składało jéj nieustanne hołdy, dobijało się życiem o jeden uprzejmy uśmiech, pałało równą dla niéj miłością, chociaż wiekiem znacznie od siebie się różnili.

Jeden z nich minął już zenit życia i skłaniał się ku zachodowi; był on chudy, blady i melancholijnego wejrzenia, a jego wzrok błędny i niespokojny równał się niekiedy wzrokowi srogiéj hyjeny. Czoło jego i lica były poorane zmarszczkami i świadczyły o gwałtownych namiętnościach i burzach serca. Rzadki rudawy włos, nadawał dziwnego wyrazu całéj twarzy. Miał on na sobie strój czarny, przywdziany z starannym wytworem, a na piersiach błyszczały różne gwiazdy.

Drugi był silnie zbudowany, nizkiego wzrostu, średniego wieku, a ostre rysy jego twarzy znamionowały dziką zapamiętałość charakteru. Prócz tego nie zbywało mu na chytrości i przebiegłości, co z jego zdradliwego uśmiechu i jego bystrych lecz fałszywych oczu, dość jawnie się okazywało. Ubior jego, lubo nieco zaniedbany, odznaczał się przecież spaniałością, a w jego zachowaniu się było coś przybranego i wymuszonego, czego opisać trudno.

Trzeci wreszcie był najmłodszym z nich wszystkich. Oblicze jego miało wyraz szlachetnéj powagi; niebieskie oczy jego przemawiały utajoną tęsknotą. Był wysokiego wzrostu i kształtnie zbudowany, a cała postawa jego ujmowała prostotą, która wraz z szczérą grzecznością i otwartym sposobem myślenia, chlubne świadectwo o jego prawdziwie wysokiém urodzeniu i wychowaniu dawała.

Pierwszy zwykł był przychodzić o zmroku, i bawić aż do godziny, kiedy w kościołach na modlitwę za dusze zmarłe dzwoniono. Drugi odwidzał księżnę Gomez rankami, w niebytności małżonka. Trzeci nie miał pewnego wyznaczonego czasu, lecz żadnéj dogodnéj pory. nie omieszkiwał.

A piękna donna Anna któregoż z nich wyszczególniała? — Żadnego. Dusza jéj była czysta, jak zorza poranna, a sumienie nieskalane, jak słońce; — lecz co w jéj sercu się działo, tylko Bóg wiedział. Trwożna i pełna uszanowania w obecności pierwszego, okazywała drugiemu surową dumę, i cokolwiek wzgardy, a w obec trzeciego bywała niekiedy milczącą i posępną, a niekiedy wesołą i gadatliwą.

Nocnym zalotnikiem był Filip II; porannym Antonio Perez, jego tajny sekretarz i pomocnik w jego intrygach miłośnych; trzecim Chuan d'Escobedo, przyjaciel i poufnik Don Chuana Austryjackiego.

Pewnego wieczora w kwietniu, gdy właśnie zachodzące słońce zwolna poza mgłą widokręgu niknęło, a na wschodzie gwiazdy migać zaczęły, stał na jednym z balkonów ówczesnego pałacu królewskiego jakiś czarno ustrojony mężczyzna, i opiérając się o poręcze, utkwił wzrok nieruchomy w rumianym zachodzie słońca. Byłto Filip II, wypoczywający w tej chwili po natężeniu całodziennych trudów rządowych. Śledząc ostatnie promienie zagasającéj zorzy, zdawał się w głębokiém dumaniu być pogrążonym. Ciemne obrazy snuły się w jego duszy; wspomniał sobie boleśnie ową, na tak wielką stopę podjętą, a tak nieszczęśnie zakończoną wyprawę swojéj »niezwyciężonej armady«, która jego potęgę do najwyższego szczytu wznieść miała; potém uleciał w myślach daléj za słońcem, poza morza, ku owym odległym brzegom, na których od niedawna uwieńczone sławą sztandary Hiszpanii powiewały, a myśl, iż słońce w swoim nieprzemierzo-

nym biegu wszędzie poddane jemu ziemie i narody oświeca, pokrzepiła nanowo dumę jego. Nagle bądźto przypadkiem, bądź z umysłu, spoczęły jego spojrzenia na pałacu Evoli, który leżał nie w wielkiéj odległości, i którego wszystkie okna były otwarte. Patrząc tam, zdało się Filipowi II, iż widzi dwa cienie w głębi jednéj komnaty, lecz nie mógł rysów ich twarzy dojrzéć.

Na ten widok wrócił do swego pokoju, zamknął drzwi z pośpiechem i udał się do Pereza, czekającego nań w gabinecie, do którego tylko jemu i królowi było wolne wnijście. Kazawszy tam swemu poufnikowi usiąść przy sobie, rzekł do niego:

»Zdaje się iż Don Chuan zamierza do Holandyi wkroczyć.»

„Ma on tam liczne stronnictwo, którego się obawiać należy;" odpowiedział sekretarz.

„Nie obawiam się bynajmniéj;" — ozwał się Filip II — „każę go pilnie śledzić i znam wszystkie jego zamysły. Chuan d'Escobedo jest jego poufnikiem. Wszelkie sprawy w téj mierze przez jego ręce idą. Odbiera ciągle instrukcyje od niego."

»Oraz i listy;" dodał sekretarz.

„Te listy znajdują się w zielonym puilaresie, który on zawsze przy sobie nosi. Muszę miéć koniecznie ten puilares."

»To rzecz nie łatwa.»

„Mówię ci, iż go miéć muszę. — Prócz tego wiémy, iż księżna de Gomez jest przypuszczoną do tajemnicy téj korespondencyi."

»Nie mogę wierzyć, aby dama jéj stopnia...»

„I tak piękna, nie prawdaż?... A przecież mimo to wszystko, przyjmuje odwidziny Escobeda. Dziś wieczór....»

Tu król szepnął poufnikowi swemu coś do ucha, na co tenże mocno się zmieszał. Po chwili milczenia rzekł sekretarz:

„Wasza królewska mość rozkazałeś; mnie wypada pełnić jego rozkazy. Kilka słów z podpisem waszéj król. mości będzie dostatecznem.»

Przy tych słowach zerwał się król z wściekłością i rzucił okropném spojrzeniem po Perezie, który drżał na całém ciele, jakby piorun tuż przed nim był uderzył. Wszakże ten poryw gniewu trwał tylko chwilę.

„W istocie, warto spróbować;" — ozwał się Filip II, siadając znowu w krzesło.

Poczém napisał słów kilka i oddał je Perezowi. Ten chciał właśnie odejść, gdy król za rękę go uchwycił i krótko, rozkazującym rzekł tonem:

»Spraw się prędko a roztropnie; rozumiesz?»

Perez ukłonił się i wyszedł; król Filip pospieszył do księżny Gomez. Po niedługiéj, dość obojętnéj rozmowie, rzekł król, mierząc księżnę groźném wejrzeniem:

»Miałaś pani tu właśnie gościa?»

Na te słowa Donna Anna pobladła, i wyjękła drżącym głosem:

„Przebacz wasza król. mość; nie było tu po południu nikogo; chyba że wasza król. mość o moim ochmistrzu chcesz mówić.»

Król nic nie odpowiedział, lecz uśmiéchnął się złośliwie, a widząc księżnę zmieszaną, wziął leżącą pod ręką gitarę, nastroił ją i podał księżnie z prośbą, aby co zaspiewała. Księżna usłuchała rozkazu i zaczęła śpiéwać, lecz król nie zważał na nią, wstał, i chodził niespokojnie po pokoju, podczas gdy Donna Anna trwożnie jego kroki śledziła i z upragnieniem końca odwidzin królewskich wyglądała. Od czasu do czasu przystępował Filip II do otwartego okna i zdawał się oczekiwać czegoś z niecierpliwością.

„Czyż wasza król. mość się nie lęka, aby mu chłodne powietrze nocy nie szkodziło?" rzekła księżna nieśmiało, poglądając coraz trwożniéj na króla.

Filip nie uspiał odpowiedziéć, gdy naraz wszystkie dzwony na modlitwę za dusze zmarłe zabrzmiały. Oboje uklękli w pokorze i odmówili pacierz. Ledwie po téj pobożnéj ceremonii król powstał, dały się słyszéć jakieś głosy na ulicy.

„Cóż to znaczy?" zawołała Donna Anna, biegąc na balkon. Lecz król Filip zamknął przed nią drzwi od balkonu, i odpowiedział z cicha:

„Nic to... Zapewne straż nocna...»

Donna Anna struchlała od strachu; Filip nie mówił więcéj i słowa; głębokie milczenie panowało w komnacie. Wtém nadbiegł jeden z paziów i oznajmił Pereza. Król wybiegł naprzeciw swojego sekretarza, który coś mu poszepnął, i wraz mu zielony puilares doręczył. Filip II wziął z radością puilares, a w téjże chwili padła Donna Anna prawie bez życia u stóp jego. Postrzegła ona była ślady krwi na puilaresie, który jak wiedziała, był Escobeda własnością.

Nazajutrz rano, gdy lud do kościoła Santa Maria spieszył, postrzeżono w małéj uliczce pod kościołem jakiegoś trupa, w którym natychmiast sekretarza Don Chuana Austryjackiego, Escobedo, poznano; a że wszystko co było na nim kosztownego, nienaruszone pozostało, przeto każdy się domyślił, iż on nie z rąk rabusiów poległ.

W kilka miesięcy później musiał Perez schronić się przed okrutną nienawiścią swojego pana do Aragonii, i poduszczył ją do buntu, poczém na wygnaniu i w nędzy umarł. Król Filip dopiéro po kilku latach zakończył swoje ponure życie w Eskurialu, gdzie ostatnie chwile w zupełnéj spędzał samotności.

Scena na morzu.

Jeżeli zabobony w ogóle tak dla pojedyńczych ludzi jako i dla całego społeczeństwa są nader szko-

dliwe, oileż zgubniej pojawia się wpływ onych tam, gdzie jest potrzeba spólnego działania i wzajemnego wsparcia się połączonemi siłami, a zwłaszcza w chwilach niebezpieczeństwa, które, jeżli nie zupełnie odwrócić, przynajmniej ile możności złamać należy. Okazuje się to najwidoczniej pomiędzy czeladzią na okrętach, gdzie zbyt często się zdarza, iż w razie przesilnej burzy, kiedy życie całej osady oczywistą zgubą jest zagrożone, jakiś dziwaczny przesąd umysły opanuje, i wszelkie usiłowania ratunku za nic są poczytane, a przez to samo, rzeczywiste nieszczęście powstaje. Że oświata 19go wieku nie zdołała tych nieszczęsnych zabobonów wykorzenić — następne zdarzenie, opowiadane przez pewnego oficera od angielskiej marynarki, jest najlepszym dowodem.

»Jak może wiesz kolego,» — zaczął kapitan Fitzgered do autora niniejszej powiastki — »panuje w marynarce wszystkich prawie narodów europejskich głęboko wkorzeniony zabobon, iż wielkiem nieszczęściem jest dla okrętu, jeżli jaki znajdujący się na pokładzie kot pobitym lub skaleczonym zostanie, a gdyby go kto w morze wrzucił, natenczas musi okręt nieochybnie wraz z kotem zatonąć, lub prędzej czy później, z całą osadą w bałwanach morskich zaginąć. Rozumie się, iż oficerowie w takie duby nie wierzą, lecz zacząwszy od sternika aż do ostatniego kucbcika, wszyscy mają to za rzecz nie podlegającą najmniejszej wątpliwości.

W czasie wojen Napoleońskich służyłem na okręcie handlowym, który miał płynąć do Smyrny. Zawinęliśmy najprzód do Portsmouth, aby tam zaczekać na spólnika domu, w którego poleceniu wybraliśmy się w podróż. Potrzeba nam było jeszcze jednego majtka, a kapitan, znający się dobrze z machlarzami, którzy tych ludzi dostarczali, udał się sam na ląd i zamówił sobie u nich pewnego młodego, żwawego chłopaka. Jakoż niebawem przybył zamówiony majtek na okręt, niosąc z sobą coś w worku pod pachą. Z niechęcią postrzegliśmy, iż to był duży czarny kocur.

„Słuchaj, mój kochany,” — rzekłem do niego — „twój kot nie może się tu zostać. Kapitan nie lubi tych zwierząt, przed któremi niczego ustrzedz nie można, a które po wszystkich kątach nieczystość zostawiają.

Lecz nasz majtek nie chciał żadną miarą rozstać się z swoim kotem, i oświadczył stanowczo, iż gdzie on jest, tam i kot jego być musi; poczem nie zapuszczając się w dalsze wymówki, wrzucił swego ulubieńca na spód okrętu. Tak niemile przyjęty kocur, jakby odpłacając nam równą niechęcią, jeżył się dziko w gniewie, toczył wokoło iskrzącem okiem, a wreszcie wsunąwszy się w jakiś kąt ciemny, zniknął nam z oczu. Byłoto istotnie dzikie, ogromne zwierzę, na które nie można było patrzeć bez wstrętu, zwłaszcza pomnąc na przesąd, jaki z jego złowrogą obecnością się łączył. Wszyscy też chcieli koniecznie pozbyć się nieproszonego gościa i odgrażali się dość głośno: »Poczekajno, poczekaj! Niech tylko kapitan wróci, a damy ci już radę.»

Nad wieczorem wrócił kapitan z oczekiwanym spólnikiem, młodym, słabowitym i nadzwyczajnie trwożliwym człowiekiem, który jeszcze nigdy w życiu na okręcie nie postał. Usłyszawszy o kocie, kazał go natychmiast złapać i na ląd wynieść. Na to jednak nie chciał właściciel kota zezwolić, a prócz niego, bojąc się pazurów, nikt doń przystąpić nie śmiał. Gdy kocur poznał, iż go chcą złowić, zaczął się coraz bardziej sierdzić i zajął obronne stanowisko pod schodami, grożąc rzucić się na każdego, ktoby tylko zbliżyć się poważył. Właściciel jego śmiał się z tego serdecznie, lecz kapitana tak mocno to gniewało, iż chciał kazać natychmiast zastrzelić kota, i tylko z obawy, aby odzywająca się już tu i owdzie zabobonna trwoga osady, powszechnego zaburzenia nie sprawiła, darował życie kotowi, ale kazał go w jakikolwiek sposób z okrętu wypędzić.

James, młody posługacz kajutowy, bądźto jeszcze nie obeznany z tym zabobonem, bądź że w to nie wierzył, zapalił zwitek nasiarkowanej przędzy na panwi, i spuścił ją nadół do kryjówki, w której kot siedział, aby go siarkowym dymem ztamtąd wypędzić. To sprawiło pożądany skutek; nieprzyjaciel jednym skokiem był już na pokładzie, a ztamtąd zbiegł na jeden z pomniejszych masztów, gdzie go James dognawszy, chciał kawałkiem zarzuconego nań żaglowego płótna schwytać, ale w tym zapędzie stracił równowagę, i spadł wraz z kotem w wodę.

I czyż myślisz kolego, iż kto się ruszył, aby biedaka z wody wydobyć? Bynajmniej; aż dopiéro zagroziwszy śmiercią każdemu, ktoby Jamesowi na pomoc pospieszyć nie chciał, zdołaliśmy ja i kapitan, przywieść do tego, iż nieboraka z wody wyciągnięto. O kocie zaś jużeśmy nic więcej nie słyszeli, a zatém powszechny był domysł, że utonął.

Ale teraz, ów młody majtek, do którego kot należał, w żaden sposób dłużej na takim okręcie pozostać nie chciał, z którego kota w morze wrzucono; a że prócz tego nieustannie czeladź okrętową podburzał i zresztą jako niespokojny i zabobonny człowiek, kapitanowi się nie podobał; więc go na łódź wsadzono i nazad na ląd odesłano. Czem jeszcze bardziej rozjątrzony, miotał przez całą drogę przekleństwa na nasz okręt, a dostawszy się na brzeg, obrócił się ku okrętowi, i grożąc nam pięściami, zawołał: »Wyście czarnego kocura w morze rzucili, pamiętajcie, będzie to zgubą waszą! Szczęśliwej drogi! Nie chciałbym ja tam być z wami, chociażbyście po przybyciu do Smyrny, wasz okręt

darować mi chcieli. Nie dopłyniecie wy do Smyrny, boście mi mego czarnego kocura utopili! Zginiecie wszyscy, zginiecie!» Po tych groźbach, zarzucił swój worek na plecy i znikł nam z oczu.

Cała prawie osada okrętowa zaczęła żałośnie narzekać, w czém nasz waleczny spólnik ze wszystkich sił dopomagał. Nawet nam oficerom był ten cały wypadek nadzwyczaj nieprzyjemnym, gdyż lękaliśmy się nie bez powodu, iż w razie niebezpieczeństwa, ten czarny kocur wielkiego nabawić nas może nieszczęścia.

Nazajutrz, nie czekając już na nowego majtka, odbiliśmy od lądu, i po dość pomyślnéj podróży, zapłynęliśmy do zatoki Biskajskiéj.

Jednego poranku, gdyśmy właśnie przylądek Finisterre ominęli, rzekł do nas James, posługacz kajutowy:

„Niech mię kaci porwą, jeżelim wczoraj w nocy naszego czarnego kocura lub jego ducha miauczącego nie słyszał.”

Ja i kapitan śmieliśmy się z niego, lecz James wcale się nie śmiał, i wyglądał bardzo posępno. Zakazaliśmy mówić mu o tém przed majtkami, wszakże po kilku dniach uskarżał się przede mną kapitan a jeszcze bardziéj ów trwożliwy nasz spólnik, że jakieś stukanie w tylnéj części okrętu, co nocy spać im nie daje. Powiadali oni, że to był tartas, jakby całe piekło rozpuszczonych czartów tam się uganiało. Kapitan marszczył brwi z gniewu, a nasz spólnik nie wiedział co robić ze strachu. Ztémwszystkiém mieliśmy pomyślną podróż, i wziąwszy świéży ładunek żywności w Gibraltarze, puściliśmy się daléj w drogę. Kapitan nie uskarżał się już więcéj na ów łoskot, a ponieważ i James o swoim kocim upiorze nie wspomniał, przeto poszła ta cała sprawa w zapomnienie.

Tak zapłynęliśmy aż przed Maltę; gdy oto nagle pogoda, która nam dotąd stale sprzyjała, razem się zmieniła. Całe niebo zasuło się ciężarnémi chmurami, i mogliśmy oczekiwać niebawem okropnéj burzy, która téż rzeczywiście następnéj nocy z taką wybuchnęła srogością, jakiéj nigdy jeszcze przedtém na morzu nie doświadczyłem. Okręt nasz gnał szalenie z wiatrem, który w prawdzie z należytéj dął strony, lecz tak gwałtowne i wielkie toczył bałwany, iżeśmy się co chwili lękać musieli, aby całego okrętu nie zalały i na dno nie pogrążyły. O północy lunęła ciężka ulewa, a wiatr wzmagał się coraz silniéj. Piérwszy sternik i ja, byliśmy na pokładzie, podczas gdy drugi, u steru siedział, gdyż okręt leciał tak potężnie z wiatrem, iż z wielką trudnością kierować się dawał.

„Źle z nami!” rzekł kapitan, wchodząc na pokład, i jakoby w odpowiedź ozwało się w téjże chwili głośno i wyraźnie: „Miau! miau!” chociażeśmy nie byli w stanie oznaczyć miejsca, zkąd ten głos wyszedł.

„Wielki Boże! Cóż to takiego!” zawołał piérwszy sternik, a padające nań światło z kompasowéj latarki, odkryło nam, iż jak trup pobladł.

„Miau!” ozwało się zkądsiś powtórnie.

„Do kroćset tysięcy!!” krzyknął kapitan. „To ten czarny kocur!”

„Panie! Zmiłuj się nad nami! Zginęliśmy!” zawołał drugi sternik, załamując ręce w rozpaczy.

Aby ręce załamać, musiał oczywiście ster z rąk wypuścić, a jego pomocnik, który także przytomność stracił, nie miał dość siły, aby mógł sam ster udzierżyć. Owszem potrącony wyrywającym mu się z rąk sterem, zatoczył się aż na drugą stronę, a okręt zaczął się teraz tak gwałtownie rzucać, iżeśmy się wszyscy ledwie na nogach utrzymać mogli.

Przyznam się, że w téj chwili i mnie samemu nie dobrze się zrobiło, zwłaszcza widząc jak dalece cała osada na pogłoskę o tajemniczém miauczeniu, odwagę i przytomność straciła. Po raz ostatni ozwał się ten głos złowrogi w sąsiedztwie kajuty kapitana, a wszyscy oświadczyli, iż on z jakiegoś blizkiego miejsca wychodzi. Tymczasem pogruchotała nam burza wszelkie pomniejsze belki i maszty, których połamane szczęty, przy powszechném zatrwożeniu umysłów, zaledwie w kilku godzinach uprzątnąć zdołano. Po ukończeniu téj pracy oczekiwaliśmy naprożno uśmierzenia się burzy, która ciągle z tąższamą wrzała wściekłością. Na szczęście był nasz kapitan śmiałego, niezłomnego charakteru człowiek, i drwił z niebezpieczeństwa.

„No, żwawo chłopcy!” ozwał on się do majtków. „Ten wichr czyni nam wielką przysługę; jeźli on dłużéj tak potrwa, tedy zawiniemy prędzéj do Smyrny, niżeśmy się sami tego spodziéwali.”

„Nigdy my już Smyrny nie obaczymy!” odpowiedział drugi sternik, dzwoniąc zębami ze strachu.

„Nie, nigdy!” zawołali wszyscy majtkowie żałośnie, a wtém dało się nowe „miau” słyczeć.

„Otóż mamy! Albośmy nie mówili!” krzyknęła cała osada, a w téjże chwili przewalił się ogromny bałwan przez pokład, i zrywając resztę okrętowych narzędzi, uniósł nas wszystkich ku przedniéj części pokładu. Zarazem napełnił się okręt taką masą wody, iż stanąwszy na chwilę, zdawał się już tonąć, i aż dopiéro po nowém na bok przechyleniu się, znacznéj części wody się pozbył, i znowuż z wiatrem jął płynąć. Pomiędzy majtkami zaczęto szemrać, aby dla przebłagania rozgniewanego ducha kota, biédnego Jamesa do morza wrzucić, gdyż onto był głównym sprawcą nieszczęścia kota. Wtém dało się słyszeć jakieś głośne pluskanie w spodniéj części okrętu; pobiegłem tam cożywo i obaczyłem

dużą lukę w okręcie, przez którą już na sześć stóp wysokości wody się nabrało.

„Nuże śmiało chłopcy!" zawołał kapitan. „Bierzcie się do pompowania. Nie ma w tém niebezpieczeństwa; będziemy wkrótce wolni. Widzicie teraz że to nie kot temu winien."

Ale nikt ani ręką nie ruszył. Wszyscy stali jak osłupieni w rozpaczy. Nareście ozwało się kilka głosów: „Trzeba Jamesa koniecznie w morze wrzucić! A potém musimy się jeszcze na pożegnanie wódki napić i ostatnią sobie uciechę sprawić. Nasza godzina wybiła; przyszło nam ginąć; nigdy my już z żadnym nie obaczymy się portem!"

Na to nastąpiła grobowa cisza; jakoż i wiatr nieco się uspokoił; a wtém ozwało się znowuż melancholijne miauczenie. Spojrzeliśmy ku stronie, zkąd ono wychodziło, i obaczyliśmy tam — wysoko na maszcie środkowym — siedzącego ducha czarnego kocura, wychudłego jak skielet. Kapitan skoczył czémprędzéj do kajuty, wybiegł w oka mgnieniu z nabitą strzelbą, złożył się, wypalił, a zarazem i duch kota, po wydaniu przeraźliwego pisku, spadł jak długi na pokład. Podniosłem go za ogon i rzuciłem pomiędzy majtków, mówiąc: »Na, macie tu samegoż czarnego kocura a nie zaś jego ducha. No, będziecież teraz swym własnym oczom wierzyć?"

Teraz wyświeciło się całe zdarzenie, które takiego strachu nas nabawiło. Ciemno było wtedy, gdy James, uganiając się za kotem, wpadł w morze. My byliśmy zanadto jego własném ocaleniem zajęci, aby na kota zważać. Kot tymczasem wydrapał się zapewne po linie od kotwicy znowuż na górę, a ztamtąd jedną z luk otwartych na spód okrętu zeskoczył. Tam polował on na szczury i ztąd pochodził ów łoskot, słyszany przez kapitana. Podczas burzy przewalały się różne na spodzie okrętu znajdujące paki to w tę to w owę stronę i przygniatały kota, który z tego powodu chcąc nie chcąc miauczéć musiał. Wreszcie gdym zeszedł na spód, aby ujrzéć co tam burza za szkody poczyniła, uciekł kot na wierzch, a dla braku żywności, okazał się nam istnym kościotrupem.

Zawstydzeni majtkowie rzucili się z podwójną siłą do roboty, a w kilku godzinach wypompowaliśmy wodę. Wtém i burza się uspokoiła, a we dwa dni zawinęliśmy cało i zdrowo do portu Smyrneńskiego.

„Otóż widzisz, kolego," — zakończył kapitan Fitzgered opowiadanie — „w ten sposób mógł był ten czarny kocur przez zabobon majtków, nas i okręt o zgubę przyprawić."

Licytacyja grzéchów.

Gruchnęła pogłoska, iż djabeł umarł; a ponieważ żadnych po nim dzieci nie pozostało — (Robert-Djabeł, jestto tylko wymysł złych języków) — przeto miała babka szatana całą puściznę odziedziczyć. Ta zaś ogłosiła publicznie, iż objęte po swoim wnuku dziedzictwo, na licytacyję puści, i z uzyskaną ztąd sumką, w jakim spokojnym kącie osiędzie, i dotychczasowe rzemiosło swe zarzuci.

Żadna pogłoska nie rozejdzie się bez przyczyny; to téż i w obecnym razie chciałem istotnéj dojść prawdy, a w tym celu zapytałem pewnéj znajoméj czarownicy: jak się téż rzecz ma właściwie.

Z zapłakanemi oczyma odpowiedziała mi ona: „Tak jest, umarł niestety, i już go pogrzebiono! Licytacyja jego puścizny odbędzie się na przyszłe Sobótki."

„I jestże tam coś takiego w téj puściznie, pocoby warto było pójść na licytacyję?"

„O, będzie tam wiele ludu;" — odrzekła stara tonem sybilińskim. „Ceny pójdą szalenie w górę."

„Radbym tam być," — rzekłem — »chociażby tylko z ciekawości autorskiéj. To naucza, i nie codziennie coś podobnego widzieć można. A gdzieżto odbędzie się licytacyja?"

„Na Łyséj górze."

Podziękowałem czarownicy za informacyję, i pospieszyłem załatwić moje najpilniejsze sprawunki, aby o wyznaczonym czasie stanąć na Łyséj Górze. Radbym był chętnie przeczytał sobie warunki licytacyi, ale chociaż sam djabeł umarł, przecież musiało się jeszcze wiele złych duchów pozostać, a te, skoro tylko w okręgu Łyséj Góry stanąłem, płatały mi tak dalece różne psoty, iż ja, który mniemałem przybyć pierwszy na licytacyję, przybyłem prawie ostatni i zastałem już i osoby sądowe i liczne zgromadzenie ludzi ze wszystkich stanów.

„L i z u ń s t w o — dziesięć rubli! Kto da więcéj!" zawołał woźny.

Wszystko milczało.

»Czy nikt nie da więcéj? — Jestto towar potrzebny. Można nim wiele zyskać; można się zbogacić. Czy nikt się nie zgłosi?"

„Ha," — ozwał się jakiś żebrak — „oto mam kilka groszy, które chciałem na loteryję postawić. Jeżli wola, kupię za nie ten artykuł; może mi więcéj niż loteryja pożytku przyniesie."

„Po trzeci i ostatni raz!" krzyknął woźny i przysądził lizuństwo żebrakowi.

„Jak widzę, tanio tu idą grzéchy;" — pomyślałem sobie— »możnaby tu korzystne robić interesa, gdyby sumienie nie kroczyło olbrzymim krokiem pomiędzy tłum zebranych i niepukało tu i owdzie do serca."

„O b ż a r s t w o!" zawołał woźny. „Tysiąc rubli! Kto da więcéj?"

„To za drogo! Temu żebracy nie podołają!" rzekłem.

„Biorę je po téj cenie!” ozwał się jakiś tuczybrzuch.

„Dwa tysięcy!” przejął ktoś z nosem czerwonym.

»Dziesięć tysięcy!« ryknęła jakaś gardziel pijacka.

»Sto tysięcy;” przemówił słodziuchno jakiś tłuścioszek.

„Niech mi wolno będzie obejrzéć je!” zawołała jakaś wychudła postać, zdająca się być głodną. »A są tam ananasy?”

»Pięćdziesiąt tysięcy więcéj!” dodał uprzejmie tłuścioszek.

„Sto pięćdziesiąt tysięcy rubli! Nikt nie da więcéj?”

Wszyscy milczeli. Tłuścioszek wziął Obżarstwo.

»Samobójstwo!” zawołał woźny.

„Co kosztuje?” krzyknęło kilku Anglików.

Nie dosłyszał tego woźny, gdyż właśnie targował się z dwoma, z których jeden nabój prochu, drugi zaś stryczek w zamian mu ofiarował.

„Składam tysiąc funtów szterlingów kaucyi,” — krzyknął czwarty ochotnik — „iż pogrzebię się w zgliszczach własnego domu.”

Zaśmiano się z téj propozycyi, gdy wtém okazało się, iż woźny miał pełny wór samobójstw, a równie ten, co nabój prochu, jak i ten co 1000 funt. szterl. ofiarował, całą i zupełną śmierć samobójczą otrzymał.

Teraz rozwinął woźny owiniętą w różne płatki „Lubieżność! Tysiąc rubli! Kto da więcéj.”

Zaczęto cisnąć się ciekawie wkoło woźnego, i każdy przeliczał swoję kasę.

»Dwadzieścia tysięcy!” szepnął ktoś w ucho woźnemu.

Ktoś inny położył na stół milczkiem asygnacyję na milijon złotych.

„Po trzeci i ostatni raz!” zawołał woźny, uderzając o stół młotkiem, i przysądził Lubieżność milczkowi.

Teraz przyszła kolej na Chciwość. Zażądano za nią dziewięćset dziewięćdziesiąt i dziewięć złotych i 23 groszy.

»Nic po tém!” krzyknęło kilka głosów. »Należy ją częściowo licytować. Któż zechce kupować razem Chciwość złota i Chciwość sławy!”

Babka szatana przystała na to. Wywołano najprzód Skąpstwo czyli Chciwość złota, i przysądzono je wreszcie komuś, co sam używania całego zrzekł się majątku.

Następnie zbywano Chciwość sławy.

Aż dotąd opierałem się dzielnie Pokusie, która poprzed Sumieniem pomiędzy ludźmi biegała i to tego to owego zaczepiała; wszakże usłyszawszy szelest wawrzynowego wieńca, spłonąłem cały szalonémi myślami.

„Czy wolno jest wszystkim licytować?” zapytałem.

„Wszystkim,” — odrzekł mi woźny — „bogaczom i ubogim, głupim i mądrym, wysoko urodzonym i prostakom; lecz Chciwość sławy nabywa się przez zamian za spokój duszy i wszelkie towarzyszące mu uczucia skromności, miłości, przyjaźni i t. p.”

»Prawdę mówiąc, nie wiele warte jest to nasze życie, bez sławy,” — dumałem sobie — „a zwłaszcza jeżeli za nią gotowémi pieniędzmi płacić nie trzeba...»

Gdym tak jeszcze w niepewności się wahał, nadszedł jakiś ojciec rodziny i ofiarował w zamian wszystko — przyjaciół, krewnych, majątek, rodzinę i uciechy domowe.

»Czy da kto więcéj?” zawołał woźny. Ja i wszyscy inni, byliśmy daleko przesadzeni, i nie śmieliśmy się wcale odezwać. Woźny miał już Chciwość sławy ojcowi rodziny przysądzić, gdy wtém jakiś fryc do stołu się przedarł i krzyknął: „Ja dam więcéj!”

Zapytano go więc o majątek, o jego resztę uczuć, które w zamian miał ofiarować; lecz tu okazało się iż on nawet dostatecznéj kaucyi nie posiadał, i cały okup dopiéro rozłożonémi na daleką przyszłość ratami chciał wypłacić. Odprawiono go więc z niczém i oddano Sławę piérwszemu nabywcy.

Woźny okrzyknął Kradzież.

»Ile kosztuje?” zawołało mnóstwo ludzi, sięgając długiémi palcami ku stołowi.

„Za pozwoleniem, moi panowie!” ozwał się jeden z asesorów sądowych. „Kto Kradzież chce licytować, powinien wprzód złożyć rewers, iż nie będzie miał uroszczeń do honoru.”

Długie palce napisali skwapliwie żądany rewers. Ciśnięto się zewsząd do stołu, kazano sobie pokazać Kradzież, podawano ją sobie z ręki do ręki.

„Czyż się panowie już przypatrzyli? Proszę oddać tu nazad Kradzież!” zawołał woźny.

»Gdzie Kradzież! Gdzie się podziała Kradzież!” zapytało głośno trzech, pięciu, dziesięciu. Kradzież zniknęła, ukradziono ją. Wszyscy oburzyli się na tę niesłychaną bezczelność. Bluźniono, narzekano, iż teraz już nawet grzech przed grzechem bezpiecznym nie jest, i przywołano Sprawiedliwość ku pomocy.

Wzejszła ona blaskiem świtającego słońca. Wszyscy pochowali się po kątach, po kryjówkach. Przyzwyczajone do mroku oczy, nie były wstanie znieść światła.

„Gdzie jest djabeł?” zawołała Sprawiedliwość. »Niech mu wydam jego zwolenników do ukarania!”

Grom tego głosu przeraził wszystkie serca.

Tylko jakiś gbur, który niedawno Bezczelność zalicytował, wstał zaślepiony i rzekł: „Djabeł umarł i już go pogrzebiono!”

Tu buchnął słup dymu ze szczytu góry, a z jéj głębokiéj rozpadliny wzniósł się Djabeł i rzekł: »Nie umarłem ja, lecz kazałem tylko rozsiać pogłoskę, aby się przekonać, czy jeszcze mam przyjaciół na ziemi, i aby się dowiedzieć, po jakiéj cenie grzechy na targu stoją.”

Owoż wszczął się teraz dopiero lament i płacz nabywców, którzy mniemali że są już w bezpieczeństwie ze swoim łupem, a nagle znowuż kopyto szatańskie na karku sobie poczuli. Ja zaś ucieszyłem się mocno, iż nie mogłem nabyć owego powabnego wawrzynku, i uciekłem, co tylko mogłem, do domu.

Wiadomości literackie.

Ze Lwowa: *Tygodnika rolniczo-przemysłowego* T. W. Kochańskiego wyszedł nr. 16ty i zawiéra: 1) O uprawie lnu i przysposobieniu przędziwa podług sposobów używanych w Belgii i Niemczech. Przez wydawcę. (Ciąg dalszy.) 2) Kiedy pasanie bydła po lasach jest najszkodliwsze? 3) O wystawie płodów przemysłowości w Wiedniu. Przez Józefa Żywickiego. (Ciąg dalszy.) 4) O wapnieniu roli. 5) Wiadomości handlowe.

Dziennika mód paryzkich pod redakcyją Tomasza Kulczyckiego, wyszedł nr. 8my i zawiera, prócz mód następujące szczegóły: 1) Zora. Dokończenie. 2) W imienniku. Wiersz przez Celestyna W. 3) Nieco o Chinach. Przez J. 4) List przez L. B. 5) Nowości literackie.

Nakładem K. Jabłońskiego drukuje się *»Zbiór Powieści z życia towarzyskiego,* przez *J. Dzierzkowskiego,* we 2 tomach, zawiérających częścią dawniejsze częścią wcale nowe utwory. Tom I wyjdzie temi dniami zpod prasy. Należy się spodziewać, iż publiczność nasza przyjmie z upodobaniem wydanie tych powieści, które autorowi w krótkim czasie u nas i za granicą równie pochlebne ocenienie we wszystkich prawie pismach czasowych polskich, jakoteż zasłużoną wzięłość u czytelników zjednały.

Umnictwo i przemysł. Ułożone przez p. Galimard roczne sprawozdanie paryskiego »Stowarzyszenia sztuk pięknych« zawiera następujące, uwagi godne, słowa: »Porównywając nasz przemysł z przemysłem narodów starożytnych, musimy się zdumieć nad różnicą jaka ztąd wynika... Przemysłowość starożytności jest tak ściśle z samąż sztuką połączona, iż nadzwyczajnie jest trudno, oznaczyć jakąkolwiek pomiędzy niemi różnicę. Najpiękniejsze wazy, jakoteż najpiękniejsze amfory powstały zarazem z najpiękniejszemi posągami, a najdoskonalsze wyroby sztuki przemysłowéj, pojawiły się w tymże samym czasie, kiedy genijusz Fidyjasza i Praxytela tworzył owe spaniałe dzieła, które po wieki wieków wzorami doskonałości pozostaną. Przeciwnie nasz nowożytny przemysł zdaje się dążyć do oderwania się od sztuki, która przecież powinnaby jego jedyną być podporą i mistrzynią. Ztąd dzieje się, iż najpyszniejsze utwory dzisiejszego przemysłu z odwiecznémi prawidłami piękności się mijają, a kto chociaż raz tylko nad tém się zastanowił, jak często wszelkie rodzaje ozdób, bez najmniejszego względu na ich zgodność lub niezgodność, razem mieszane bywają, ten zapewne słuszności tego zarzutu nie zaprzeczy.

Niewidome pismo. Dzienniki angielskie donoszą: W ostatniéj wojnie Afgańskiéj potwierdziła się skuteczność pisania ryżową wodą i wywabiania później, za pomocą jodyny, pisma tego na widok. Pierwszy list jaki Anglicy z Dżellalabadu otrzymali, ukryty był w gęsiém piórze. Po wydobyciu go z pióra, wyczytano na nim jedyne słowo »Jodyna.« Użyto więc tego magicznego płynu, i powzięto w ten sposób wiadomość o stanie sir R. Sale. — Zasłużony ten wojownik, którego również waleczna żona swoim »Dziennikiem nieszczęść w Afganistanie« — znaną się stała, zginął w ostatniéj morderczéj walce z Sykami.

Manna. Niejaki p. Noe, konserwator naturalno-historycznego gabinetu przy szkole lekarskiej w Galataseraj, udał się do Feniszehir, w celu zbadania manny, która niedawno tamże spadła i tyle wrzawy po dziennikach zagranicznych sprawiła. Owoż po uczynionych badaniach oświadczył tenże p. Noe, iż rzeczona manna z pewnéj rośliny, rodzaju Sicaria, pochodzi. Ta roślina kwitnie na wiosnę, potém w krótkim czasie zupełnie więdnie i zostawia tylko małe cebulki, które bardzo cienką warstwą ziemi pokryte bywają. Ciągłe ulewne dészcze zmyły tę ziemię, a przeto cebulki téj nadzwyczajnie obfito w owych okolicach rozmnożonéj rośliny, pojawiły się nago na powierzchni. Lud zabobonny, nie mogąc sobie inaczéj téj obfitości wytłumaczyć, uwierzył, iż ta manna deszczem z nieba spadła.

Dla zaspokojenia gospodarzy wiejskich podał p. Durand do paryzkiéj akademii umiejętności wiadomość, iż chore kartofle, które on zeszłej jesieni na próbę w cieplarni posadził, teraz zupełnie zdrowe młode kartofle wydały.

Ostatnia opera Aubera »Kościuszko« — nad którą sławny jéj kompozytor właśnie teraz pracuje, a która innéj znanej operze tegoż samego mistrza »Niema z Portici« ma się równać, będzie, jak donoszą, w miesiącu październiku przedstawianą. Utworem tym chce Auber zakończyć swój zawód muzykalny i usunąć się zupełnie od wszelkiéj pracy.

Budżet francuzki czynił w r. 1829 za Karola X 986.158.821 franków; obecnie podniósł się on do 1.387.870.080 franków. Stałe podatki wzmogły się od roku 1830 o 28 procentu. Są teraz niektóre okolice we Francyi, gdzie podatek gruntowy właśnie jedną piątą część całego dochodu zabiéra. Podatek od osób i od ruchomości podwyższył się o 42, podatek od drzwi i okien o 116 procentu. A przytém wszystkiem okazał się przecież w r. 1845 roczny ubytek 396.365.063 franków, chociaż od r. 1830, 350 milijonów franków pożyczki zaciągnięto i wszystkie prawie lasy skarbowe wyprzedano.

Robaczki morskie, nadzwyczajnie szkodliwe dla okrętów, zdają się pełnić tęż samę powinność na morzu, co teremity lub białe mrówki na lądzie. Bez tych żarłocznych źwiérzątek byłyby niektóre rzeki, a nawet niektóre pobrzeżne części morza, unoszonemi corocznie z gór całémi drzewami i pniami, zupełnie zawalone; te naniesione drzewne skupiska, musiałyby długo gnić w wodzie i sprawiłyby zapewne różne szkody, o których w obecnym składzie rzeczy bynajmniéj nic nie wiemy. Teraz już łatwo nam się domyśléć, że gdy wspomniane tu małe źwierzątka, na wskróś je toczą i przeżérają, napływ morza jest w stanie, łatwo je w kawałki rozbić, poczém przy pomocy innych okoliczności, zupełne ich zniszczenie następuje.

Węgle kamienne. Nie ma prawie żadnej wątpliwości iż węgle kamienne są pochodzenia roślinnego; nadzwyczajna ilość odcisków różnych roślin, jakie się w nich znajdują, stwierdza najdowodniéj to zdanie. Wszakże czy one z drzew przedpotopowych, czy z jakich innych ciał roślinnych pochodzą, jest wcale jeszcze niepewną rzeczą. Większa część geologów utrzymuje, iż teraźniejsze pokłady węgli kamiennych były niegdyś bagnami torfowémi. Nasz torf zawiéra już w sobie niektóre znamiona, jakiemi węgle kamienne się odznaczają, jako na przykład, olej ziemny, który, niewidomy jeszcze w świéżéj lub też suchéj roślinie, dopiero za pomocą wody i przez odjęcie

powietrza w ciele roślinnem się rozwija. Twardy i miąższy torf ma już niejakie podobieństwo do węgla kamiennego. Przypomnijmy sobie daléj, iż w wielu razach cała spodnia warstwa przez wulkaniczne wybuchy rozgrzaną i przepaloną bywa, chociaż ulotne części ujść nie mogły, a przeto wyda się nam przemiana torfu w węgiel kamienny tém bardziéj prawdopodobną. W pokładach torfowych znajdują się nierzadko pnie drzew zapadłych, i z takichto obcych części mogą pochodzić owe miejsca w węglach kamiennych, gdzie one do drzewa są podobne.

Lekarstwo na pijaństwo, używane przez lekarzy Berzeliusza i Szrejbera, a polegające na tém, iż wzięci w kuracyję pijacy przez trzy do ośmiu dni samémi wódką przyprawnémi potrawami i napojami karmieni bywają — okazało się bardzo skutecznem. I tak pewien oficer od marynarki szwedzkiéj donosi z Karlskrony, iż z 70 pijaków, którzy sami do téj kuracyi się zgłosili, 21 zupełnie już są wyleczeni i od dość znacznego czasu ani raz w dawny błąd nie popadli. Jakoż sam sposób tego leczenia zdaje się być tak wstrętnym, iż najzawzięlsi pijacy wystrzegają się jaknajmocniéj, aby ich w tę kuracyję nie wzięto. Jest więc nadzieja, że obrzydły nałóg pijaństwa wkrótce coraz rzadszym się stanie.

Fabrykacyja cygarów w Manilli dzieje się na tak wielką stopę, że zapewne na całym świecie nie masz tak ogromnego i zaludnionego zakładu, jak są obie fabryki cygarów w Manilli. W większéj z tych dwóch fabryk, w okręgu Binondo, pracuje w głównym warstacie, czyli w ogromnéj sali o sześciu przedziałach, do ośmiu tysięcy kobiét, siedzących zawsze po 15 razem przy niezliczonych nizkich stołach, na których każda na dzień w przecięciu 200 cygarów zwinie, co razem, w jednym tylko warstacie, codziennie ogromną sumę 1.600.000 — czyli 500 milijonów sztuk na rok — wynosi. Praca dzienna trwa przez 12 godzin; płaca bywa dla nadzwyczajnéj konkurencyi zbyt mała. Wszędzie panuje największa czystość, a surowa baczność dozorców nie dozwala żadnego sprzeniewierzenia. Moralność robotniczek, dzięki ich odrażającéj brzydocie, ma być wzorową.

Uprawa rumbarbarum, zaprowadzona od niejakiego czasu w Morawii, postępuje z najlepszym skutkiem. O kilka mil od Berna jest wielka plantacyja tego rodzaju, wydająca co roku 3 do 4 tysięcy centnarów, po 42 do 76 reńskich. Korzeń morawski jest bardzo dobry, tylko należy brać nieco mocniejsze dozy. Towar ten bywa już za granicę wywożonym.

Rzadka wytrwałość. Konsylijarzowa nadworna Witte wypracowała z białego wosku model księżyca, i przesłała go do Anglii na ręce sławnego astronoma Herszla. Strawiła ona blisko trzydzieści lat nad tą pracą, która ma być jedynem arcydziełem w swoim rodzaju.

Pani Catalani wyprawiła w Florencyi dnia 9go marca koncert na korzyść pewnego zubożałego artysty. Orkiestrą dyrygował książę Poniatowski, który przy końcu zaprosił sławną śpiewaczkę, aby zaśpiewała angielski hymn narodowy *»God save the Queen«*. Gdy wielu z licznie zgromadzonych Anglików tę prośbę księcia poparli, pani Catalani wraz z towarzyszeniem wszystkich obecnych Anglików i Angielek odśpiewała z zapałem pieśń żądaną. Zresztą głos pani Catalani znacznie ucierpiał, i zdaje się, że w tym koncercie po raz ostatni ją słyszano.

Tania uczta. Pora polowania już przeszła, a policyja paryzka konfiskuje bez miłosierdzia wszelką przydybaną źwierzynę, i nawet umyślnie w tym celu restauratornie przetrząsa. Niedawno przyszedł do Végo, pierwszego restauratora w Paryżu, jakiś młody, elegancko ubrany mężczyzna i zamówił *»un diner fin«* na cztery osoby, w oddzielnym gabineciku: każda potrawa z truflami, Cliquot-szampan w lodzie, młody groch i szparagi, ananasy na wety; słowem co tylko można było mieć najlepszego, wszystko to miało znajdować się na stole. Restaurator zaciérał ręce z radości. »Wszakże i źwierzynę będziemy mieli?« ozwie się elegant. »Rozumie się;« odrzekł gospodarz, a tak o wyznaczonym czasie odbyła się rzeczywiście najwyborniejsza uczta, napito się wreszcie mokki, wypalono paczkę kosztownych *panatelas* i zażądano rachunku. Podano go na cienkim papierze o złotych brzegach. Młody człowiek, który tę ucztę zamówił, wziął rachunek, wynoszący 132 franków, włożył go obojętnie do pugilaresu, i rzekł do restauratora: »Zapewne pan się domyślasz, iż ja tego rachunku płacić nie będę; wymieniona w nim źwierzyna jest dostatecznym dowodem przeciw panu. Gdybym ten rachunek w prefekturze policyi złożył, musiałbyś pan 500 franków kary zapłacić, nie licząc w to kosztów procesu. Wszakże chcę sobie szlachetnie z panem postąpić i przestaję jedynie na tém, iż nie zapłacę za obiad. Do zobaczenia.« — Restaurator postrzegł iż trafił swój na swego, i ścisnąwszy melancholijnie ramionami, kazał pozbierać ze stołu.

Ogrodnik Sybiliński. Niedawno usłyszał bankier R. w Paryżu, iż pewien ogrodnik ma w swoim parniku kilka prześlicznych dojrzałych brzoskwiń, które jednakże po tak drogiéj cenie sprzedać umyślił, iż dotąd żaden miłośnik się nie znalazł. Pan R. udał się do ogrodnika, nie wymieniając nazwiska swego, lecz ten poznał go natychmiast, i zażądał 300 franków za każdą brzoskwinię, dając mu do wyrozumienia, iż to są jedyne dojrzałe owoce tego rodzaju, jakich nie ma w całym Paryżu. Gdy pan R. na tę cenę przystać nie chciał, ogrodnik, na cześć tak dostojnego gościa, zerwał z czterech brzoskwiń jednę, i przeciąwszy ją na dwoje, podał jednę połówkę bankierowi, a sam zjadł drugą. Pan R. rad był kupić te rzadkie w téj porze owoce, aby je ważnéj dla niego osobie w darze posłać, ale zbytnia ich cena, odstraszała go od tego zamysłu; teraz zaś miał sobie za obowiązek grzeczności kupić brzoskwinie, i zapytał o cenę trzech pozostałych. — »Nie mogę ich taniej spuścić,« ozwał się ogrodnik, »jak wprzódy, to jest wszystkie trzy za 1200 franków.« — Pan R. lękając się aby ogrodnik znowu jednéj brzoskwini z nim razem nie zjadł, a potem za resztę 1200 frank. nie zażądał, pospieszył się z kupnem i zapłacił żądaną sumę. Są to może najdroższe owoce, jakie kiedykolwiek sprzedano.

»Każdy garnek znajdzie swoją nakrywkę.« Jestto przysłowie chińskie, polegające na następnym zwyczaju Chińczyków, przez podróżnika Selberg, uważanym. Na dachu każdego prawie chińskiego domu, w którym się jedna lub kilka córek znajduje, bywa próżny garnek na widok przechodzących umieszczany. Jeżeli garnek jest dnem ku ulicy obrócony, wtedy jestto znakiem, iż córka jeszcze niedorosła. Przeciwnie zaś, garnek otworem ku ulicy obrócony, oznacza córkę na wydaniu. Po zamęzciu córki zdejmuje się garnek z dachu.

Redaktor Jan Nep. Kamiński. — Nakładem Spadkobierców Frańciszka Krattera.

Drukiem Piotra Pillera.